

Szymel Szarypcze przedmieście

MAVRYCY SZYMEL



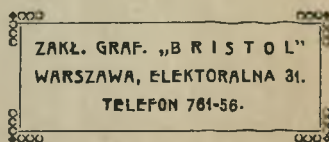
J.T.

**SKRZYPCE
PRZEDMIEŚCIA**

**SKRZYPCE
PRZEDMIĘCIA**

MAURYCEGO SZYMLA

„Powrót do domu“, Warszawa 1931



MAURYCY SZYMEL

SKRZYPCE
PRZEDMIEŚCIA

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 25
Tel. 26-68-63

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Okładka J. Tykocińskiego.



22.536

Muza na przedmieściu

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate

I.

O, pozwól miła moja ekscelencjo,
Że cię zapoznam z moją rezydencją;
To tutaj właśnie. W tym domku małym.
Tak. Lwia, numer szesnasty —
Tutaj mieszkałem —
Pod tym dachem krzywo-kanciastym.

Unieś, unieś wyżej suknię bladą,
Przestępując ten zczerniały próg —
Tyle pozostało tutaj śladów
Zabłoconych i obrzękłych bosych nóg.

A to jest sień, gdzie wiatr się z wiatrem spotykał:
Jeden z ulicy, a drugi z podwórza —
Tu gwizdałem pod księżyc arję z Cyrulika
I marzyłem o tobie, o morzu i o różach.

A róże były daleko i ciebie jeszcze nie było,
Tylko się mleko wiosenne na rdzawej kuchni prażyło
I alfons bił na ulicy niesforne swoje kochanki,
Gdy zapalały się wokół małe, naftowe lampki.



II.

A to jest mur, a za nim sad klasztorny,
Skąd szum dochodził nocą wilgotną i głuchą.
Nie bój się o pani, tej ciszy wieczornej
I nie bój się tej sieni, ciepłej od zaduchu.

Bo pomyśl, miła: tutaj, jak i wszędzie
Jest śmierć i życie, miłość i nienawiść —
I nigdy już i nigdy inaczej nie będzie.
Od życia i od śmierci nic nas nie wybawi.

Genealogja.

Teć są imiona Synów Izraelskich którzy weszli do Egiptu..
Exod. I. 1.

Teć są imiona moich siostr i braci,
Wylętych z ciemnych domów smutnego przedmieścia:
Abraham — szlifierz, który rękę stracił
I Dan, o którym zaginęły wieści.

Efraim uciekł w noc do Amsterdamu —
(Nas wszystkich gnają wiatry w świat szeroki)
Ruta została. Gospodarzy z mamą
I pisze listy do wuja z Milwaukee.

Starej mej matce Chana jest na imię,
A Zew — dziadowi memu z Toporowa —
Dziad bywał u nas raz do roku w zimie
I zapalał na oknie świeczki chanukowe.

A ja — układacz wierszy.

Gdy z lip się pierwsze kwiaty posypały
I cieniem w słońcu chwiały się kasztany,
Ja — nocą wiersze gorzkie układałem,
W niemojej mowie zgubnie zakochany.

Dziś wiem, że smutek wieczny jest jak księżyc
I nieobjęty, jak nocny firmament —
Choć wierszem śmierci nieda się zwyciężyć,
Wiecznie kochamy, wiecznie umieramy.

Moja matka.

Ty matko, nigdy się nie śmiejesz
I musisz wstawać, gdy tylko zadnieje
I ręce masz popękane,
Zaczerwienione, poodmarzane.

Krzywą, wyboistą uliczką, pełną ptasiego krzyku,
Schodzisz do korzennego sklepiku;
Idziesz powoli, powoli z kobiałką w rękę
I tylko wiatr i tylko wiatr
Bawi się twoją szarą, łataną sukienką.

Matka w sklepiu

Dwie butki i pół bochenka chleba.
Masło — jest, Cukru też nie trzeba.
Dwa deko kawy i kwaterkę mleka.
Prędko, prędko. Czas przecież nie czeka.
I kilogram ziemniaków. Tylko nie zleżałych.
Spinkę do kołnierzyka, szarego mydła kawałek,
Farbki do bielizny. To wszystko. Dość na dzisiaj.
Proszę zarachować i na kredyt zapisać.

Matka rozpala ogień

Zwyczajna rzecz. Mróz.
Matka wsuwa pod kuchnię wilgotne polana;
Przysiadła na kolanach
I chucha w ogień z posiniałych ust.

Ale nie idzie. Dym wraca.
Wybucho kłębam i zasmolonych drzwiczek.
I nic nie chce wiedzieć o jej bezradnej rozpacz
Pełgający po drzewie płomyczek.

Więc jeszcze wiązkę smolaków i czekać, aż się rozżarzy,
Aż ogień cieniem czerwonym
Oświecili uśmiech zmęczony
Na jej poźółkłej twarzy.

Matka obiera kartofle

Brała małą dłońią kartofel pękaty i duży
Z blaszanej miski pełnej słońca i kurzu.

Na palcach jej się lekko płatek blasku położył
I drżał na rdzawem ostrzu szczerbatego noża.

A obok, otwierał głąbie swe czarne
Brzuchaty, gliniany garnek.

Z pluskiem padały do ciemnej wody
Siwe, poczciwe kartofle pachnące ogrodem.

Matka w kinie

Matka wyciąga ramiona do morza na ekranie
I do okrętów, przybijających do przystani.
Matka wdycha powietrze z gór nieprawdziwych
I mówi coś do siebie i do ludzi nieżywych.

Nic tobie matko, nic tobie
Do tych pięknych panów, do tych ślicznych kobiet.
Tobie krzywa ulica z parterowymi domkami
I błoto pod nogami.
Tobie ciemne schody, wijące się pod strych
I pajęczyna zwisająca z nich.

Bo odpłyną okręty, odpłyną, w drogę daleką, nieznaną,
A tobie pozostanie
Czarny napis na białym ekranie:
„Dobranoc”.

Matka z filmu

Ta matka z filmu nie jest jak ty — niezgrabna;
Ona jest bardzo ładna.
Ma białe, gładkie ręce
I może zwiedzać Florencję.

Matka z filmu kładzie się, kiedy chce i kiedy zechce - wstaje,
Lokaj jej do stołu kolację podaje.
A kiedy zachoruje, (to się może zdarzyć)
Przychodzą do niej najszlachetniejsi lekarze
I uważnie badają puls —
I prędko mijają jej króciutki ból.

A za oknem śpiewają jej drzewa pełne ptaków i światła,
A w pokoju pachną prawdziwe kwiaty
I wszyscy chodzą na palcach i wszyscy kochają ją;
I to jeszcze:
Matka z filmu nie pluje krwią.

Matka gdera

Zaczęła mama gderać
W wieczór dzwoniący słowikiem:
„Dość już. Przestań być dzikim.
Co ja się biedna, naczyszczę, naharuję, nasapię,
A on mi wszędzie bruździ. Na stołach, na krzesłach, na kanapie,
Wszędzie papier i papier.
Spójrz. Cała ściana atramentem zavalana.
Siedzisz i piszesz od samego rana,
Wiersze wymyślasz, nie wiedzieć dla kogo i poco,
Kiwasz się, mówisz do siebie, potem sypiać nie możesz nocą — —
Ej, chłopcze, chłopcze dziki — —”.

Tak mówiła do mnie mama w wieczór dzwoniący słowikiem.

Ale właśnie w tej samej chwili
Niósł się księżyc po ciepłym niebie
I z drzewa się nademną pochylił
I wołał do siebie —
I samopas biec mi kazał po ulicy,
I płakać, i śmiać się, i gwiazdy liczyć.

Więc wdychała w głębokie wieczory matka moja cichutko,
A ja nie mogłem wtedy pojąć jej wielkiego, prawdziwego smutku—
I dalej byłem dziki.
I biegłem w wieczory dzwoniące słowikiem,
I wyłem, że nie umiem gwiazd, ani księżycza wystłowić,
Biegłem, biegłem po ulicach — z księżycem na głowie.

Wieczór na mojej ulicy

Chwieją się w świecach ściany odrapane,
Mrużą się oczy matki niewyspanej,
Pachnie herbatą, rybą i kołaczem;
Można wyjść wieczorem pod gwiazdy na spacer.

Kulawy krawiec okna już zamyka —
W szynku Walkiera płacze harmonijka,
Głuchy kataryniarz zdrzemnął się na progu —
Cicho jest na rynku i niema nikogo.

O Boże, krzywych ulic, opuszczonych wozów,
Dyszłów połamanych, śmietnisk i nawozów —
Boże murów zmurszałych i mokrych od pleśni,
Daj nam spokój wiosenny i szum leśny we śnie.

Na dachy spływa rtęcią srebrliwość księżyca,
U wylotu ulicy modli się bóżnica.

Klątwa księżycy

Księżyc Lutni Dawidowej płynął po dachach
I na krzywej ulicy srebrną się miedzą kładł:
Chudy krawiec, szewc brodaty i blacharz
Modlili się do księżycy z przed tysięcy lat.

Stawali na palcach. Do nieba podnosili głowy,
Skąd gwiazdy dzieciom śpiewającym spadały do rąk.
Wiatr czesał kosmyki świateł różowych
Świecom trzepocącym w zieleni wieczoru.

Wtedy do oczu przyszła biblijna ziemia
I w wietrze przedwiosennym pachniała na naszej ulicy;
Chciałem objąć jej błękit rękami obiema,
Upojony gwiazdami i rzewnym księżycem.

Ale wiatr pogasił świece i ucichły słowa
Rozśpiewanego rzeźbiście psalmisty—
Księżyc za kasztanem twarz wzruszoną schował
W kałużach świecił rudo wieczór rzeczywisty.

Lecz została ta chwila ku niebu wzniesiona,
Choć wieczór w ciasnym pokoju coraz bardziej ciemniał i brzydł;
Do dziś gdy zobaczę księżyc, wyciągam do niego ramiona,
Jak każdy brat mój ubogi — prosty, wierzący Żyd.

Szaliapin

I skądżeś tu zawitał Szaliapinie miły,
I komu tutaj śpiewasz arję z „Onegina”
Oczy się tragarzom od łez zaiskrzyły
I śmieje się do ciebie kulawa dziewczyna.

O, śpiewaj, śpiewaj jeszcze. Z kolorowej tuby
Pod niską, ubieloną niech bije powałę
Twój głos, wezbrany światem, namiętny i luby,
W którym uszy się dziewcząt smutnych zakochały.

Gdzieś daleko w oklaskach i kwiatach znużony,
Nie wiesz, że przedmieście uczciło cię łzami;
Słodki wieczór twym śpiewem głębokim wzruszony
Rozpłakał się złotemi, ciepłemi gwiazdami.

O staruszku tęskniącym

Siedzi pod starą bóżnicą zgarbiony, zawszawiony
I patrzy w ciche niebo słońcem zaczerwienione.

Grają ćwierkliwie kasztany, bzykają muchy na szybach,
Jest piątek i pachnie kołacz, cynamon tłuczony i ryba.

Lecz Pan Bóg chleba poskąpił, a tęsknot dał bez miary,
Więc wilgotnieją oczy i tłucze się serce stare.

— Rzewność ogarnia ponoć zwyczajny nawet kamień—
Gwiazdy, jak w Księdze Królów wschodzą nad kopułami.

Lecz krzyża wśród kopuł nie widzą oczy w marzeniu bezbrzeżnym,
A uszy dzwonów nie słyszą z kościoła Marji Śnieżnej—

Król Dawid żyje i śpiewa, srebrną łyskając zbroicą
I palmy jak na obrazku kołyszają się w księżycu.

Kiwa staruszek głową i łzy mu z oczu płyną,
Bo w ciepły zatęsknił wieczór za złotą Jerozolimą.

Mesjasz

Wczekujemy go na przyzbach wieczorami
Z wzniesionemi do nieba oczami,
Bo nim wiatry wiosenne bure chmury przegonią,
Przejedzie naszą ulicą na białym, spienionym koniu.

Wtedy krawiec Efraim rażony od blasku,
Pozostawi na stole gorące żelazko
I wybiegnie pod gwiazdy w rozwianym surducie
I nigdy do zatęchłej już izby nie wróci.

Bo drzwiami i oknami z pochylonych chałup
Wpłyniemy w głąb nocy gwiaździstą i białą
Za Mesjaszem na koniu w promienistej chwale,
Zapatrzeni w świecące zdala Jeruzalem.

Ta joj — sztajerek !

Ta joj, jak blisko księżyc podchodzi do okien —
Taki poufały, choć taki wysoki —
Przez niskie szyby wpływa zielenią na ściany —
Łysy, uśmiechnięty frajer zakochany.

Ta joj — jak ulica czuli się z księżycem
I jak się szynk Walkiera trzęsie przy muzyce —
Jak żywo tańczy Antek z Mańką za pod boki —
Ta joj, jak blisko księżyc podchodzi do okien!

Antysemita

— Z rodakiem niech się łączy każdy prawy rodak —
Zaryczeli pod drzwiami, lecz nikt nie otwierał —
Więc Jośka cherlawego obili na schodach,
A potem poszli pjani pod dom Goldwasera.

Po drodze kamieniami wybijali szyby,
Wygrazając niebu ciemnemu nad dachem —
Z jeszybotu uciekał mały, czarny Żydek,
Zielony od księżycy i pjany ze strachu.

Śmierć Arona

Umarł. W księżycowy wieczór letni.
Syn żebraka. Aron trzynastoletni.
Niedojda. Popychało. Jąkała.
Matka nawet po nim nie płakała.

Ale na podwórzu wzeszła jego twarz
Pejsata i jak księżyc sina i obrzękła,
Z oczami czarnemi, wzniesionemi do gwiazd,
Świeciła w murów chropowatych wnękach.

Lęk pajęczyną zasnuł sień i podwórze.
Bałem się wyjść z pokoju, choć byłem już duży,
Bo za gardło chwytał zimnemi, kościstemi palcami
Zły, smierdzący trup w biel okutany.

A on, — jak każdy syn Izraela,
Wysłuchany w śpiewne „amen“ i w łkające „sela“
W izbie ciasnej i dusznej, gorącej od pierzyn
Na ziemi, cały w świecach uśmiechnięty leżał.

Tylko ojcu garb urósł, drżąc cieniem na ścianie,
Gdy sławił śmierć i Boga pobożnem śpiewaniem.

Mirjam rodzi

Rodzi Mirjam, chuda żona tragarza;
Słyszemy, jak rzuca się na łożku i krzyczy.
Kryk rośnie w ciemności i ściany rozsadza.
Dobrze — przykryć się kołdrą i nie wiedzieć o niczem.

Ale tam, w mroku, chodzi nerwowo po sieni
Gruby, rudobrody tragarz Beni;
Chodzi, ręce załamuje, sam jeden w nocy,
Puka do drzwi. Szuka pomocy.

Pierwsza wybiega krawcowa pani Róża,
A potem Balcia, żona żebraka z podwórza.
Skrzypią drzwi, trzeszczy podłoga głosem ponurym —
Zagdały na drabinie przebudzone kury.

Wzmaga się krzyk i staje się wielki, jak biała noc księżycowa
Rośnie i skrzydeł przydaje groźnym na ścianach ceniom —
W naszym półciemnym pokoju zaczyna się snuć rozmowa
O życiu i o śmierci, o radości i o cierpieniu.

O tem, że gdy już najciemniej, wtedy do świtu najbliżej,
I o tem, że ludziom ubogim trudno na świecie wyżyć.
O tem, że położnicom mającym ciężki poród,
Przychodzi z pomocą swoją Eljasz, łaskawy prorok.
I o Rotszyldach w Paryżu i o upiorach w bóżnicy
Mówi się, patrząc w okno, zalane zielonym księżycem.

Tymczasem krzyk najwyższy wspiął się ku niebu i opadł —
Ktoś w uniesieniu za ścianą krzyknął: to chłopak, to chłopak!
I nie spostrzegło się nawet, że noc niespokojna się kończy,
Że w oknie bladą posoką ocieka różowe słońce.

Wieczór w deszczu

Stefanowi Pomerowi.

A wieczorem, kiedy wreszcie spać się kładę,
Na tęsknotę moją gorzką niema rady —
Deszcz po błocie siecze, ciecze, człapie —
Chyba wódką kłiwy smutek zapić.

Bo wieczorem szare ściany się zbiegają;
Duszą, krztuszą, tłamszą, spać nie dają,
Ściany mokre, ściany brudne, odrapane,
Afiszami, reklamami wylepiane.

Dokąd uciec, kogo wołać, komu zwierzyć,
Że nie można w taki wieczór tu uleżyć —
Nic po wierszach wymyślanych dniem i nocą,
Nic po gwiazdach, co się w słowach tylko złocą.

Tyle przemyślałem już i tyle już prześniłem,
Że mnie gwiazdy, że mnie wiersze już znudziły —
Leżę, liczę, myślę, medytuję,
Aż mnie sen trucizną nocy nie otruje.

Muza płacze

Ty płaczesz? Nie płacz moja miła damo,
Nic się nie zmienia. Zawsze jest to samo:
Jest głód i jest dosyt, jest światło i ciemność
I człowiek zapalony miłością daremną,
I smutek nieodparty i ból pożądania—
Spotkaniem się zaczyna tragedia rozstania.
Więc nie płacz. Chodźmy dalej, moja miła damo,
Nic się nie zmienia. Zawsze jest to samo.



Skrzypce przedmieścia

Malarzowi Tykocińskiemu — w przyjaźni.

Płynie z poddasza w wieczorną dal
Rzewny, płaczący, Straussowski walc;
Ptak się zasłuchał, w mroku zdumiony,
Kasztanem wstrząsnął dreszczyk zielony;
Ach, tak — to walc, to walc!

O, jak się domom świecącym blachą,
Spiętrzyły skrzydła wygiętych dachów!
— Księżycem wiecznym, jak łza, jak żal
Owładnął rzewny, Straussowski walc.

Rozkołysana i rozśpiewana,
Padła latarnia w mgle na kolana:
Bił w nią namiętym odmętym fal
Rzewny i śpiewny Straussowski walc.

Dreszcz słodki wstrząsnął starą bóżnicą:
Ocknięta, drżała cała w księżycu,
Łyskając okien wysokich blaskiem
W mrok, który ciszą dawał oklaski.

Ó, skłoń się skrzypku, w oknie stojący,
Domom pochyłym, latarniom tłącym
I gwiazdom wiecznym, jak łzy, jak żal,
Wsłuchanym rzewnie w Straussowski walc.

Ciężka noc

Ciężka jest noc pod zczerniałą i niską powałą,
Gdy daleko gdzieś dzwoni lato w koniczynie —
O jak trudno, by smutne serce pokochało
Kopeć lampki naftowej i rdzę na kominie.

Cóż poradzą w oknie mrugające gwiazdy
I myśl, że pachnie łąbin pod pełnią księżyca,
Gdy skrzypią stare łóżka zrdzewiałem żelastwem
I gdy klnie tam za ścianą tragarz — pijanica.

Ach, wyjść pod noc wysoką na otwarte pole,
Gdzie wiatr się na krzyż z wiatrem woniejącym łąmie
I objąć roztrzęsione szumiące topole,
I zachłysnąć się niebem skropionem gwiazdami.

Przeprowadzka

J. Papiernikowi — w przyjaźni.

Z wyrzutem patrzy szafa pusta i niczyja,
Skąd garnitur odświętny przed chwilą wyjąłem,
A zegar, który co dzień mi porę wybijał,
Bije cicho, jak serce moje niewesołe.

Więc znowu ruszać dalej, niewiadomo pogo;
Zostawić smugę słońca pod białą powałą
I stół porysowany, gdzie się późną nocą
Tyle gorzkich i smutnych wierszy napisało.

Kto mnie czeka w tym innym, nieznanym pokoju,
Gdzie się obcy pojawią cicho i zniecka—
O, jak trzeszczy pod stopą, pełna niepokoju
Stara, zaśmiecona, pocziwa posadzka.

Nie płacz starowinko. Przemian rzeką wielką
Wszystko wciąż odpływa migocącą falą—
Żegnaj drzewo cierpliwe, kroków nosicielko,
Świadku nocy bezsennych i dni pełnych żalu.

Wszak zostaje nam jeszcze ta jedna pociecha,
Że gdy noc ciszą mroku gwar dnia przewycięży,
Do wszystkich przecież okien będzie się uśmiechał
Ten sam, nazawsze wierny i wieczysty księżyc.

O sobocie utraconej

Z ubielonej kuchni bił pod powałą opar wesoły,
Pas zachodzącego słońca na oknie się rozpinął;
W pokoju pachniało marchwią i rosołem,
W żelaznych garnkach bulgotały kartofle w łupinach.

Wyczyszczone lichtarze płynnem syciły się złotem
Od zorzy, spływającej po wilgoci szyb;
Bramą od podwórza zajeżdżał z turkotem
Krępy, ospowaty tragarz, przysadzisty, jak grzyb.

I grzybami pachniały ręce matki pomarszczone
I wodą od ryb zmaconą i wonią suszonych śliwek;
Wracał brat, wracały siostry zmęczone,
Nawpół senne i nawpół szczęśliwe.

Bo od świec trzepocących cieniami, stawało się w pokoju ciszej
I głęboko pachniała wiosna na krzywej, przyćmionej ulicy—
I gdy się usiadło na progu można było usłyszeć
Niebo wyczesane wiatrem, umyte księżycem.

Ale dziki, niesforny chłopiec uciekał wtedy z pokoju
Pod gwiazdy, rozsypane po krzywych, blaszanych dachach,
Bo wtedy nie rozumiał, bo wtedy jeszcze nie pojął,
Że bliskim sercu był tragarz, był krawiec z parteru i blacharz.

I że bliskim był stół pod łatanym obrusem i krzesło ubogie
I rosół o złotych okach w wyszczerbionym talerzu,
Kisnące wino z rodzynek i trzaskający pod kuchnią ogień
I zapach palonej kawy tłuczonej w mosiężnym moździerzu.

Wszystko było bliskie. A dziś nawet w tym wierszu najprostszym
Nie można wrócić do domu który się oddalił,
Nie można zasiąść do stołu przy braciach przy siostrze,
Gdy niema już komu świeczek sobotnich zapalić.

Kołysanka mojej matki

Pani Tosi A.

Obiecywałaś mi matko, konia i szablę i rower,
Bylebym tylko zasypiał w długie wieczory zimowe—
I kozę, całą ze złota i podróż morzem—do cioci...

Śmiały się pewnie wtedy ściany pełne wilgoci
I szyby się pewnie śmiały i łóżko i stół i konew
I śmiał się twój śmieszny czepek ze starych, spłowiałych koronek;

Bo ściany i okna i drzwi, choć stygły w wieczornem milczeniu,
Wiedziały, że nic mi nie kupisz na wiosnę, ani jesienią,
Że rower i koza i okręt—to smutny, niezgrabny wymysł,
Że ciężką mieliśmy jesień i ciężką będziemy mieć zimę.

A ja widziałem we śnie rower i okręt i morze,
I nie wiedziałem, że płaczesz, i że mi nic nie pomożesz,
Że oknem i ścianą i drzwiami parł ostry mróz do pokoju
I zasypywał szronem kulawą kołyskę moją.

A ty mi obiecywałaś rodzyнки i migdały...

Dziś tylko twoje łzy mi na rękach pozostały.



T R E Ś Ć :

Muza na przedmieściu	
I.	str. 5
II.	6
Genealogja	7
Moja matka	8
Matka w sklepiku	9
Matka rozpała ogień	10
Matka obiera kartofle	11
Matka w kinie	12
Matka z filmu	13
Matka gdera	14
Wieczór na mojej ulicy	15
Kłątwa księżycy	16
Szaljapin	17
O staruszku tęskniącym	18
Mesjasz	19
Ta joj! — sztajerek	20
Antysemita	21
Śmierć Arona	22
Mirjam rodzi	23
Wieczór w deszczu	24
Muza płacze	25
Skrzypce przedmieścia	26
Ciężka noc	27
Przeprowadzka	28
O sobocie utraconej	29
Kołysanka mojej matki	30

*Odbito 300 egzemplarzy
w Warszawie
1932 r.*

Z głosów prasy o „Powrocie do domu“

Maurycy Szymla

W tomie tym... przemawia do nas żydowski poeta słowami polskimi, o ile mi wiadomo, czyni to poraz pierwszy poeta o wyraźnym, żydowskim poczuciu narodem, wyrażający nie tylko tragizm rasy, (jak tytu przed nim), ale także tragizm diaspory... Najciekawszy i najmocniejszy jest cykl ostatni „Noce biblijne“. Tu marzenie za utraconym Wschodem rozjadrza słowa autora dreszczem i krzykiem, barwi je jaskrawo i mieniają, te „noce cedrowe“ są szkarłatne, jak „Pieśń nad pieśniami“. Jezus, występuje tutaj jako „judejski król“, narodzony w „Beth-Lechem“ i ta transpozycja, to spojrzenie z drugiej strony, wydaje się nam pełne głębokiego i obowiązującego znaczenia.

Stefan Napierski — Wiadomości Literackie

Zadziwiające wiersze. Szczere, proste, bez efekciarstwa, głębokie. Wiersze — przeżycia, głosy krwi serdecznej, wiersze — prawda rzetelna, obnażona, krwawiąca... wiersze poczęte „w tęsknocie i gniewie“. — Poeta pełen smutku i miłości, „miłości szalonej“ jak ongiś wielki poeta diaspory hiszpańskiej, dusza bratnia, poprzez ból i tęsknotę, poprzez to samo wewnętrzne rozdwojenie spokrewniona, bliska. Jak ongiś Jehuda Halewi...

W „piastowskiej“ mowie nie wyśpiewano dotąd szerszych i piękniejszych wierszy żydowskich.

Dr. Ignacy Schipper — Nowe Słowo

Autor ma niewątpliwie talent i potrafi wzruszać... szczerzy sentyment do kultury i obyczaju żydowskiego jest dla czytelnika — Polaka sympatyczny.

T. B. Syga — Gazeta Warszawska

Szymel pierwszy zerwał z tradycją wyłącznego opisywania egzotyizmu żydowskiego. Wprowadza do swojej poezji nowych żydowskich ludzi, ludzi pracy, łaknących ziemi, ludzi bohaterskich i walczących.

Hajnt

„Powrót do domu“ jest książką dojrzałą, głęboko przemyślaną, skomponowaną z głęboką prostotą i smakiem. W „Powrocie do domu“ otrzymujemy zbiorek liryczny pozbawiony taniach nowalij formistycznych, a przepełniony nawskroś i do głębi śmiałą i bolesną szczerością ideową. Bo Szymel ma odwagę prawdziwej szczerości wielkich pisarzy! Szymel sformułował, jak nikt przed nim tragizm twórczy Żyda — poety. Zasób poezji polskiej wzbogacił się o odrębny, niepospolity wkład, jakim jest „Powrót do domu“.

Stefan Pomer — „Chwila“

Pozytywizm w twórczości Szymla ujawnia się najdobitniej w jego motywach żydowskich.

Nowy Dziennik

Maurycy Szymel jest jednym z licznej plejady poetów żydowskich, piszących po polsku. Jedyny jest, jeżeli chodzi o stosunek do własnego żydostwa. Szymel postawił sobie za cel głównie treść swej żydowskiej duszy wyśpiewać po polsku. Jest to nowe i uderza swą nowością. Tomik nie wywołuje jednolitego wrażenia są... partje. świadczące o niepospolitym talencie.

Dr. Chaim Lów — Miesięcznik Żydowski

Wszystkie prawie wiersze Szymla mają w sobie bardzo wiele dynamiki, nawet w tych, w których poeta dochodzi do największej precyzji odczuwa się jakieś nerwowe niedopowiedzenia, co jest oznaką przyszłych, jeszcze niewyczerpanych możliwości jego talentu.

Trybuna Akademicka

F

22.536